Rozmaitości

Dnia 4. Czerwca — Nr 23. — 1836 Roku.

ZBÓJCY W GÓRACH KALABRYJSKICH.

Powieść z dzieła Alex. Dumas: *Souvenirs d'Antony*.

(Ciąg dalszy.)

II.

ANTONIJO.

»A teraz połóżcie się spać; ja za was wszystkich na straży stać będę; na dwie godzin przed świtem zbudzę was,« rzekł Giacomo skończywszy opowiadanie.

Na te słowa każdy szukał miejsca, gdzieby noc mógł jak najlepiej przepędzić. Nie wiele chwil minęło, a już spali wszyscy. Nie trwożył ich bynajmniéj nieprzyjaciel, który ich otaczał; spali spokojnie, jakbyto w Terracino lub Sonnino do łóżka się pokładli, taki był skutek słowa dowódzcy, któremu ślepo wierzyli. Sama tylko Maryja nie ruszyła się z miejsca, na którém do słuchania powieści usiadła.

»A tyż Maryjo, nie myślisz spocząć?« rzekł Giacomo, jak mógł najłagodniéj.

»Nie jestem strudzoną,« odpowiedziała.

»Ale twoje czuwanie może zaszkodzić dziecięciu.«

»Położę się.«

Giacomo rozścielił swój płaszcz na piasku; Maryja przylęgła na chwilkę, a potém oglądając się około siebie bojaźliwie, rzekła: »A tyż?«

»Nie pytaj o mnie; ja muszę szukać sposobu, jakby przeklętym Francuzom ze szponów się wymknąć. Nie mogę wierzyć, aby im w tych skałach już wszystkie przesmyki znanémi były, aby już po najtajniejszych, po najniedostępniejszych miejscach, straże postawiać mieli. Może się jeszcze gdzie jaka dziura wolną znajdzie; nie możemy przecież wiecznie siedzieć na téj skale; a kiedy ją raz koniecznie opuścić musimy, tém lepiéj dla nas, im prędzéj się to stanie.«

»Ja z tobą pójdę,« rzekła Maryja, i już się zaczęła zabiérać do wstania. Bandyta zmarszczył czoło. »Wiész,« dodała Maryja, »umię być ostrożną, krok mój lekki i pewny; wzrok niezawodny, oddech wolny i do przytłumienia łatwy; o, proszę ciebie, weź mię z sobą.«

»Maryjo! azaliż się lękasz, abym cię nie zdradził?... Jeżeli ci ludzie na moje słowo usnęli, tyżbyś mi nie dowierzała?« Dwie duże łzy potoczyły się po licu Maryi; bandyta przystąpił bliżéj: »Dobrze, niechże i tak będzie, pójdź ze mną; ale tu zostaw dziecię, mogłoby się przebudzić i zapłakać.«

»Idź sam,« rzekła Maryja, i położywszy się na płaszczu, przytuliła dziecię do piersi.

Bandyta odszedł; Maryja wiodła za nim wzrokiem jak długo zoczyć mogła cień jego; lecz skoro go skała oczom jéj zasłoniła, westchnąwszy głęboko, nachyliła się do dziecięcia, a potém, jak gdyby już spała, przywarła powieki. Wszystko tonęło w głęboką ciszę.

Godzin dwie poźniéj dał się słyszéć szelest lekki, téj stronie na przeciw, w którą był odszedł Giacomo. Maryja otworzyła oczy i poznała bandytę. Pomimo ciemność tyle dostrzegła, iż twarz jego była zasępiona:

»Jestże nadzieja?« rzekła cichym i trwożliwym głosem.

»Żadnéj. Wszędzie, gdzie tylko jaki był przesmyk, stoją straże; jesteśmy zdradzeni przez włościan lub pastuszków.« To mówiąc rzucił sztućcem o ziemię.

»O Boże! więc nié ma żadnego sposobu z téj skały dostać się na dolinę?«

»Nié ma; z obu stron, jak tobie wiadomo, idzie stromo, a jeżeli nam orły, które tu swoje gniazda ścielą, skrzydeł nie pożyczą, śmierć nas nie minie. Przeklęte Francuzy!«

oby dusze wasze diabli w piekłę w kipiącéj oliwie wiecznie smażyli!« To mówiąc rzucił kapeluszem o ziemię.

»I cóż poczniemy?« zapytała Maryja przytłumionym głosem.

»Musimy tu zostać; tu od ich odwiédzin jesteśmy bezpieczni.«

»Cożto pomoże, kiedy nam z głodu pomrzéć przyjdzie.«

»Jeżeli nam Bóg z nieba manny nie zeszle, nie ujdziem temu losowi; lecz mniéjsza! śmierć na szubienicy lub z głodu, zawsze jest śmiercią, a temu łatwiéjszą, kto się jéj nie lęka.«

Maryja, westchnąwszy, przycisnęła śpiące dziécię do piersi i zalała się łzami.

Przez chwilę panowało milczenie, poczém bandyta w te się ozwał słowa: »Dziś mieliśmy dość dobrą wieczerzę, jutro nas jeszcze na taką stanie, a pojutrze..... nie myślmy o tém, jutro, pojutrze... zostawmy czasowi. Teraz utrudzone siły snu wymagają. Idź spać Maryjo! Idź mówię!« — »Już zasypiam,« rzekła.

Bandyta położył się na uboczu.

Giacomo nie omylił się bynajmniéj. Był zdradzonym; nie przez włościan lub pastuszków, jak mniemał, ale przez jednego z bandy swojéj, który, jakeśmy już rzekli, w czasie potyczki był przez Francuzów pojmanym, a chcąc się od stryczka wywinąć, przyrzekł w nagrodę swego uwolnienia dostawić swego dowódzcę. Aby zaś dowiódł rzetelności swego przyrzeczenia, od tego zaczął, iż sam osobiście po wszystkich znanych mu miejscach porozstawiał straże, z któremi się Hieronimo spotkawszy, od strzału poległ. Jakkolwiek wielkie i uroczyste było to przyrzeczenie, nie był pułkownik, dowodzący téj wyprawie, bez wszelkiéj oględności; kazał on pod ścisłym dozorem trzymać Antonija; jeżeli bowiem, tak myślił sobie, Antonijo ma być od szubienicy uwolnionym, wiele na tém zależy, aby na niéj wprzód wisiał Giacomo. Argument prosty i bardzo natnralny. Pułkownik nie był tak bardzo miałkiego rozumu, aby miał wypuścić więźnia, nim w jego miejsce otrzymał drugiego. Zaledwie tylko dobrze świtać zaczęło, wydał rozkaz, aby mu przystawiono Antonija; ułożył sobie, z nim, jak ze świadomym miejscowości, upatrywać koczowiska zbójców. Jeżeliby ich już nie było na skale, byłbyto dowód, że Antonijo zdrajca, i godzien być dwakroć powieszonym. Wniosek wojskowy, i co się tyczé szubienicy, krótko węzłowaty, a na który i sam Antonijo z dość dobrą miną przystawać się zdawał. Gdy go strzelcy przed pułkownika przywiedli, stanął przed nim ze spokojnością dobrego sumienia; był albowiem w duszy swojéj przekonanym, iż uczciwie dopełnił przyrzeczenia zdrady, nie mógł także wierzyć, aby się dawnym towarzyszom jego ujść ze skały powieść mogło, tak dobrze znał okoliczności, w których zostawali. Pewnym był swego. Noc minęła. Piérwsze promienie wschodzącego słońca oświécały szczyt skały, a że gór pasmo, po którym Francuzi swoje posterunki mieli, jeszcze w zacieniu tonęło, więc się zdawało, iż ten szczyt, jak ów szczyt góry Synai, okropnym gorzał płomieniem. Od czasu do czasu, i w tymże samym stopniu, w jakim się słońce w górę wznosiło, zaczęły zwolna i mgły uchodzić, a strumienie światła po obu bokach skalistego kolosu płynące, budziły w gniazdach orły, które wzbiwszy się ze swoich napowietrznych siedlisk, tak spieszno swémi skrzydły w obłoki się kryły, jak gdyby w niebo wbieżéć, spoźnić się obawiały. W tymże samym czasie nadleciał i wiatr świszczący z nadmorskiéj strony, który pędząc mokre wyziewy w doliny, rozbijał je o jodły i drzewa korkowe, u góry podnoża rasnące. Szczyty drzew, zginając się aż ku ziemi, i znowu się podnosząc, pozdrawiały wschodzące słońce. Byłto widok uroczysty. Szum przewlekły liścia zdawał się być mową, którą lasy gadają. Słowem, góra ocknęła się, nabrała duszy, i zdawała się żyć istotnie: sam tylko jéj wierzchołek był bez ruchu i milczał, jak zaklęty.

A przecież na wierzchołek ten były wszystkich oczy zwrócone. Sam nawet pułkownik z dalowidem w ręku, nie spuszczał z niego oka. Znudziło go nakoniec natężać wzrok bez ustanku, a zawsze nadaremnie. Rozgniewany, że nic nie ujrzał, uderzył dłonią tak mocno w koniec dalowidu, że się wszystkie członki jego w jednostkę zsunęły; poczém, obróciwszy się do Antonija, te dwa tylko wyrzekł słowa: »No? jakże?...«

Zaiste, dziwnem narzędziem jest słowo, a jego moc czarodziéjska jedynie na tém zależy: Kto go, jak go, i w jakiéj okoliczności wymówi. Wtedy albo wklęśnie jak nikłe ziarno,

albo się rozedmie jak pęchérz, albo skoczy jak tygrys, albo się jak wąż czółgać będzie, albo wzleci w górę jak bomba, albo spadnie na dół jak piorun. Nie jeden mowca potrzebuje godziny nim swoje zdanie wyłoży, drugi powié tylko słowo, a już zrozumiany. Do ostatniego rodzaju mowców należał i nasz pułkownik; dwa słowa rzekł tylko, ale te dwa słowa były tak dobrze na miejscu swojém usadowione, tak dźwięczne, dobitne, wyraźne, i wiele mówiące, że pojętliwość tego, kogo się tyczyły, mogła w nich od razu wyczytać, myśl następującą: Mój przyjacielu Antonijo, ty jesteś łotrem, który mniemał, iż tém się od szubienicy odkupi, że mię w pole wywiedzie; ale ja nie jestem tak głupi, jak się panu memu zdaje, i nie dam się za nos wodzić; ponieważ tedy pan nie dotrzymałeś przyrzeczenia swego: ponieważ zbójcy, a jego zacni towarzysze, téj nocy uszli, a my jesteśmy zmuszeni, nito jakie wyżły, tropić ich po jarach i parowach, co na walecznych żołniérzy wcale nie przystoi, a zatém raczysz mi tę niegrzeczność darować, że cię na piérwszém lepszém drzewie powiesić każe, a sam pójdę na śniadanie, bo mi już głód doskwiéra.

Antonijo, którego w ciemię nie bito, i który, lubo rozumu w szkołach się nie uczył, miał przecież z natury rozsądek zdrowy, pojął bardzo dobrze, że się to wszystko razem w owych dwóch słowach mieściło; przeto wyciągnął prędko ramię, i — bądź przez pochlébstwo, bądź, że i sam do téj szkoły należał, któréj mistrzem pułkownik być się zdawał — dość na tém, że wyciągnął ramię, i na owe dwa słowa, jedno tylko odrzekł: *Aspettate;* co po polsku znaczy: cierpliwości! jakoteż w saméj istocie cierpliwym był pułkownik, bo odszedł, nie wydawszy wyroku. Antonijo, z miejsca się nie ruszywszy, wlepił wzrok swój w przeciwległą górę z takiém natężeniem, że nie człowiekiem żyjącym, lecz słupem być się zdawał. Po dwóch godzinach znowu nadszedł pułkownik, znowu jak piérwéj wymierzył swój dalowid na szczyt góry, ale rozgniewawszy się, że tam zawsze nikogo dostrzedz nie mógł, uderzył po ramieniu Antonija, który chociaż się na jego przyjście nie obrócił, przecież go już słuchem, po jego chodzie poznał. Antonijo, spojrzawszy na pułkownika, zadrzał podobnie temu, który nie ma pieniędzy, a razem przed sobą wexel do zapłacenia zobaczy; jednakże jakkolwiek nie mały był przestrach jego, przecież nie stracił przytomności, bo w téjże saméj chwili, chwyciwszy lewą ręką ramię pułkownika, a prawą wskazując w jeden punkt skały, rzekł głosem pełnym tajemnicy: »Tam, tam.«

»Cóż?« rzekł pułkownik spojrzawszy przez dalowid w to miejsce, które miał wskazane.

»Czy wasza excellencyja nic nie widzisz tam, w kącie owéj skały? nie widzisz głowy człowieka, który do słupa podobień? tu, tu;« to mówiąc wziął głowę pułkownika w obie ręce i obracał nią jak wiatr kurkiem na dachu; a gdy i to nie pomogło, chwycił za dalowid i wymierzył go w ów punkt, o który mu tak bardzo chodziło, aby przez pułkownika był zoczony.

»Aha! widzę widzę!« zawołał pułkownik, ujrzawszy przedmiot oznaczony; a po chwili spuściwszy dalowid, rzekł: »Jużci to prawda, żeto postać człowieka, ale któż mi zaręczy, żeto nie jest pastérz, zbłąkanéj kozy szukający.«

»Kozy szukający! *per Dio santo*, zkąd waszéj excellencyi teraz koza w głowie,« odrzekł Antonijo prawie rozgniewany; »alboż wasza excellencyja nie widzisz tego kapitańskiego kapelusza z kitą, ze wstążkami, tego świecącego się sztućca? Patrzaj wasza excellencyja, jak się schyla i w dół zagląda, którędyby się mógł ze skały bezpiecznie spuścić. To jest Giacomo, a za nim... patrz wasza excellencyja, patrz, stoi Maryja. Czy widzisz teraz, czy widzisz?«

Pułkownik podniósł znowu dalowid, przyłożył do oka, a potém po chwili, rzekł przeciągłym głosem: »A... prawda, prawda; teraz i ja zaczynam powoli w to wierzyć, że signore Antonijo wisiéć nie będzie.« Ta wiara pułkownika zdawała się być dla Antonija wielce pocieszającą. »Każcie mi tu przywołać doktora,« rzekł pułkownik do służbowego, a potém zwróciwszy się do Antonija, zapytał: »A cóż oni na téj górze jeść będą.«

»Nic, wcale nic;« odrzekł Antonijo.

»Więc, jeżeli im się ujść nie powiedzie, muszą albo się poddać, albo z głodu zginąć?«

»Te im tylko dwa sposoby pozostają,« odpowiedział Antonijo.

»Doktorze, ile dni może żyć człowiek nic a nic nie jedząc?« Na te słowa nic a nic nie jedząc zadrzał doktor z przestrachu; byłto człowiek nizkiego wzrostu, bardzo otyły,

którego aby sobie wyobrazić figurę, wystawmy sobie ogromną kulę, do której jakiś żak ze swawoli głowę i nogi przyprawił; słowem, byłto człowiek, który wcale nie był po temu, aby na takowe zapytanie mógł z własnego doświadczenia odpowiedzieć.

»Nic a nic nie jedząc, pułkowniku?« odrzekł ze wzdrygnieniem; »nic a nic nie jedząc? ha... trzeba wiedzieć, że dobrze uporządkowany, i podług reguły żyjący człowiek, nie powinien dłużéj jak tylko pięć godzin trawić; a na dzień jeden jeść trzy razy tylko. Co zaś wina się dotyczé, ha.. tu trzeba się stosować i do wieku i do ciała przymiotowości, i do temperamentu.«

»Ja nie żądam od ciebie doktorze, abyś mi tu przywodził przepisy z nauki o zdrowiu, ale się pytam tylko w ogólności, ile dni człowiek bez jadła żyć może, i dodaję zawczasu, że to pytanie nie zmierza bynajmniéj do twojéj osoby doktorze.«

»Jeżeli mi na to dasz swoje słowo honoru pułkowniku.«

»Daję ci, daję.«

»Więc jestem spokojny, i powiadam, żeśmy przy oblężeniu Genuy mieli to doświadczenie, iż człowiek nie dłużéj jak tylko dni siedm zdołał żyć bez wszelkiego posiłku.«

»Jakto? przy oblężeniu Genuy byłeś doktorze?« zapytał pułkownik zdziwiony.

»Byłem,« rzekł doktor z miną bardzo obojętną.

»No, i cóż?« rzekł pułkownik.

»Ha cóż;« rzekł doktor ruszywszy ramionami.

»I mógłżeś przy swoim uporządkowanym zwyczaju wytrzymać taki post nadzwyczajny?« zapytał pułkownik.

»Zachowaj mię Boże od wszelkiego postu! Ja byłem przy owym sławnym pułku, który zaraz w początkach głodu wpadł na tę myśl zbawienną: jeść Anglików.«

»I byliż smaczni?« uśmiechnąwszy się rzekł pułkownik.

»Dosyć smaczni; a że z dziennego porządku kijmi brali, jadło z nich było bardzo kruche.«

»Więc taką rzeczą będziemy czekali,« rzekł pułkownik, »aż nam się poddadzą, lub z głodu poginą. Dziękuję ci za objaśnienie doktorze; a jeżeliś przy apetycie, proszę do siebie na śniadanie.«

»Z całego serca pułkowniku.«

»Julijuszu!« zwróciwszy się do służebnego zawołał pułkownik; »daj znać kucharzowi, że dziś o cztéry osób więcéj będę miał na śniadaniu.«

W skutek otrzymanych objaśnień od doktora i uczynionych zapewnień przez Antonija, uspokoił się pułkownik, i poprzestał na zaleceniu swoim oficérom ścisłego dozoru, a żołniérzom największéj baczności. Ponowiono oraz przyrzeczenie trzech tysięcy dukatów temu, ktoby głowę zbójcy Giacomo do obozu przyniósł.«

Ośm dni upłynęło. Każdego poranku przychodził pułkownik do przedniéj straży, i pytał, ażali się oblężeni już nie poddali, ale zawsze nadaremnie; poczém powracał na miejsce swego obserwatoryjum, wymierzał dalowid, i widział zawsze kilku bandytów, którzy albo na krawędzi siedząc, swoje nogi w przepaść pospuszczali, albo leżąc na skale, na słońcu się wygrzywali. Często zniecierpliwiony kazał przywołać Antonija; ale ten mu zawsze powtarzał: »Przysięgam waszéj exellencyi, że jeżeli oni jak króliki trawy, albo jak krety piasku nie jedzą, więc ja nigdy nie pojmę, czém oni dotąd żyć mogą.« Często posyłał po doktora, który go zawsze zapewniał: »Jutro pułkowniku niezawodnie poddać się muszą; ciało człowieka nie może się dłużéj bez pożywienia nad dni siedm ostać; jutro muszą koniecznie albo się poddać, albo z głodu umrzéć. Pójdźmy na śniadanie pułkowniku.«

Dnia dwunastego już pułkownikowi cierpliwości nie stało; rozkazał jak zwyczajnie przyprowadzić Antonija, i posłał po doktora. Tylko tą razą zaszła ta odmiana, że do bandyty rzekł: »Tyś łotrem najniegodziwszym,« a do doktora: »Wćpan jesteś głupcem nad głupcami.« Tak powitawszy obudwóch kazał doktorowi pójść odsiedzieć areszt domowy, a bandycie pamiętać o swojéj duszy, jeżeliby miał jaką. Doktor stał się posłusznym i poszedł cierpliwie podług porządku wojskowego, jako niewolnik discipliny, do aresztu; Antonijo zaś prosił pułkownika, aby się wrócił, bo mu coś ma powiedzieć.

»Panie pułkowniku,« rzekł do niego, »chciéj zważyć, jeżeli mię każesz powiesić, jakaż ci korzyść z tego, że przez chwilę w powietrzu potańczę? a ci tam na górze ani się o jeden dzień prędzéj nie poddadzą, ani umrą; bo oni zapewne wynaleźli jakiś potajemny sposób żywienia się, który ani mnie, ani panu pułkownikowi nie jest wiadomy. Wziąć ich szturmem, tego się nie spodziéwaj excellenza pułkowniku, bo gdyby nic więcéj w obronę swoje nie robili, jak tylko w dół kamienie spuszczali, których tam podostatkiem mają; jużby całą armiją pogruchotać mogli, a excellenza ma tylko pułk jeden. Gdybym ja signore na twojém był miejscu, widzisz, mówię to bez trwogi, mówię jak człowiek obeznany z śmiercią w każdéj postaci; gdybym ja na waszéj excellencyi był miejscu, starałbym się naprzód koniecznie dowiedzieć, jakim czarodziéjskim sposobem ci ludzie mogli na tym odosobnionym góry grzbiecie, na téj skalistéj, nieurodzajnéj kopule, tak długo żyć bez pożywienia; życzyłbym sobie dowiedzieć się o tém, chociby tylko dla tego jedynie, abym w takowych okolicznościach takichże samych użył środków. Starałbym się o to koniecznie, a gdy ku temu jeden tylko pozostaje środek, użyłbym go bez zwłoki.«

»I jakiżto środek?«

»Bardzo prosty; rzekłbym do tego Antonija, którego śmierć dla mnie byłaby bezowocna, a którego życie korzystném byćby mogło: Słuchaj poczciwy Antonijo, nieustraszony bandyto, przysięgnij mi na krew Chrystusa Pana, że od dziś za ośm dni znowu do mnie powrócisz, a teraz jesteś wolny...«

»A cóżby Antonijo przez te ośm dni robił?«

»Znowuby do swego dawnego powrócił naczelnika; powiedziałby mu, że mu się powiodło uciec z rąk swego okrutnego kata, i że z nim razem chce żyć i umiérać. Wtedy byłby Antonijo bardzo zabitéj, a Giacomo bardzo przebiegłéj głowy, gdyby się piérwszemu tajemnicę drugiego odkryć nie udało. Odkrywszy tajemnicę, powróciłby powiedzieć ją pułkownikowi, a pułkownik, jako poczciwy człowiek, stosownie do swego przyrzeczenia puściłby go wolno.«

»Ten rozejm zawarty,« rzekł pułkownik.

»I przyjęty!« rzekł Antonijo.

»Przysięgnij.« Antonijo dobył z zanadrza wiszący na wstążce pokrowczyk, w którym był obrazek święty, i który każdy Neapolitańczyk na piersi jako relikwiję nosi, i który się w języku krajowym *abitiello* nazywa. Ten pokrowczyk dał pułkownikowi, a położywszy na nim swoje rękę, rzekł uroczyście: »Przysięgam na ten obraz, w Rzymie w kościele Ś. Piotra w palmową niedzielę poświęcony, że od dziś za dni ośm, czy tajemnicę Giacoma odkryłem lub nie, tutaj stawić się nie omieszkam.« Pułkownik, przyjąwszy przysięgę, chciał mu zwrócić obrazek, ale Antonijo nie dozwolił tego. »Zatrzymaj ten święty zakład u siebie excellenza, a jeżeli za ośm dni nie wrócę, rzuć go jako znak mojéj złamanéj przysięgi w płomienie, a tenże sam ogień, który te święte relikwije pochłonie, palić będzie wiecznie i duszę moję.«

»Człowiek ten jest wolny,« rzekł pułkownik do żołniérzy, »niech sobie idzie, gdzie mu się podobać będzie.«

* * *

Jeszcze tego samego dnia wieczorem już Antonijo był w gronie swoich dawnych towarzyszy; radość ich była wielka. Giacomo, który miał go za powieszonego lub zabitego, przyjął go jak ojciec dziécię swoję. Antonijo opowiadał swoję ucieczkę; każdy temu wierzył; gdy skończył, rzekł Giacomo: »Szkoda wielka, że tak późno przychodzisz, byłbyś z nami jadł obiad.«

Antonijo zapewniał, że nie jest głodnym, i że może do jutra zaczekać, zwłaszcza, że przed swoją ucieczką dosyć się był pożywił; nie chcę także, dodał, swoim towarzyszom krzywdy czynić, bo jak sądzę, co się tycze jadła, nie może tu zbytek panować. Nic na to nie odpowiedział Giacomo, ale z jego miny mógł sobie następującą myśl ułożyć: to prawda, nie żyjemy tu w zbytku, ale mamy tyle, że żyć możemy. Antonijo wystawiał sobie, że zastanie towarzyszy swoich bladych, wychudzonych, i z głodu na pół nieżywych, a przeciwnie, zastał ich w dobréj tuszy, zdrowych i dosyć wesołych. Maryja była, jak zawsze, świéża, mocna, a dziécię jéj wcale nic nie ucierpiało; Antonijo mniemał, iż się żywią korzonkami, dzikiemy owocy, a gdy rzucił okiem na płoninę, na któréj koczowali, widział kości porozrzucane, wprawdzie do czysta ogłodane, ale to właśnie dowodziło, że na nich kiedyś mięso było. Jakimże sposobem to mięso dostało się do ludzie na szczycie skały odosobnionych, do koła u podnóża góry ściśle strzeżonych? to było nad jego pojęcie, przy piérwszym pomyśle wnosił, że może jaki pastuszek nieznaną ścieżką lub podziemną jaskinią dostarczał im żywności; ale gdy lepiéj rozważył, przyznać musiał, że w takim razie tą samą skrytą drogą byliby mogli wszyscy ujść z téj skały, a Giacomo nie byłby zmuszonym dla saméj zabawki przez dni dwanaście, jak kurek na wieży kręcić się na szczycie skały; to wszystko było dla niego wielką zagadką, i dla jéj odgadnienia byłby gotów nawet diabłu duszę swoję zapisać, gdyby tego po niejakiéj części już piérwéj nie był uczynił.

Nadeszła chwila rozstawienia straży; Antonijo był chętny wyświadczyć tę usługę, ale jéj nie przyjął dowódzca przez wzgląd, że ucieczka za wiele był utrudzony, i dał mu do zrozumienia, że go tą powinnością dopiero za kilka dni poźniéj zajmie.

Noc nadeszła; każdy spać się położył, prócz straży i Antonija. Ze wschodem słońca wszyscy się ocknęli zdrowo i wesoło, podobnie ptaszkom, których śpiéwanie u podnóża góry słychać było; sam tylko Antonio zdawał się być wysilonym, bo jego duch był niespokojny, ostro czuwający; Antonijo przez noc całą ni oka nie zmrużył. Około siódméj wskazał dowódzca palcem na jednego z bandytów, i rzekł: »Na ciebie kolej.« Wskazany odszedł z dwoma drugimi, nic nie odpowiedziawszy, Antonio poskoczył i chciał się przyłączyć: »Zostań,« rzekł Giacomo, »trzech ludzi dosyć.«

W cztéry godzin poźniéj spojrzał dowódzca na słońce, i rzekł: »Już czas do obiadu.« Bandyci usiedli na murawie jeden przy drugim; przyniesiono obiad, który się składał: z trzech kuropatw, z jednego zająca i z połowy jagnięcia, któremu było ośm lub dziesięć dni. Dowódzca podzielił sam jadło na równe części, z taką bezstronnością, którąby nawet samemu katowi króla Salomona w zaszczyt pójść mogła. Wody nie było zbytku, ale podostatkiem, bo czysty zdrój świergotał ze szczeliny skały i płakał najświéższemi łzami, jakby się ich nieszczęściu litował. O chlebie nikt nie wspominał. Widząc to wszystko Antonijo tak zgłupiał, że mu się, co było rzeczywistém, snem być wydawało.

»Miara we wszystkiém,« rzekł dowódzca do Antonija, »to jadło nasyci nas aż do jutra, bo my tutaj raz tylko na dzień jadamy, a przecież widzisz, żeśmy nie pochudli. Tom ci powiedział dla przestrogi; ściśniéjże mocno brzuch rzemieniem, aby żołądek nie prędko trawił, pospiech jego byłby nadaremny.« Antonijo chciał się uśmiéchnąć, ale natomiast skrzywił gębę, jakby co niesmacznego zażył; usiadł z trzema na uboczu i zaczął grać *mora.* W godzinę poźniéj przystąpił dowódzca i skinął mu, aby szedł za nim. Antonijo stał się skwapliwie posłusznym. Szli krętémi ścieżki po między skał urwiskami. Dla spłoszenia nudów kazał Giacomo opowiadać sobie szczegóły, w jaki sposób był przez Francuzów pojmanym, i w jaki ujść im zdołał. Antonijo, powtarzając wiernie co już piérwéj opowiadał, poglądał i w prawo i w lewo. Razem spostrzegł niespodzianie wchód do jaskini: »Cóż to jest?« rzekł z obojętną miną do dowódzcy. — »Nasza kuchnia.« — »Kuchnia? Ah, ah!« — »Rozumiész?« — »O! i bardzo.« — »Ta ostrożność była koniecznie potrzebna, aby Francuzi dymu nie spostrzegli;« rzekł Giacomo. — »Ostrożność bardzo rozumna!« — »Bo gdzie dym...« — »Tam i ogień,« przerwał mu Antonijo. — »Gdyby spostrzegli, iż w taki upał ogień palimy...« — »Łatwoby się domyślić mogli, że się to nie dzieje dla ogrzania,« dodał Antonijo. — »A nam oto najbardziéj chodzi, aby myśleli, że tu głód cierpiémi;« rzekł Giacomo. — »O, że są w téj wierze, za to ci ręczę naczelniku! oni tylko niecierpliwie téj pory wyglądają, kiedy tu jeden drugiego jeść zacznie,« rzekł bandyta. — »Co to za głupcy!« zawołał dowódzca, wzruszywszy ramionami. Antonijo, nic nie mówiąc połknął także część tego zaszczytnego nazwiska, i wszedł do jaskini. Wiódł oczyma ciekawie, i zaczął się niby podziwiać; uderzył pięścią o ścianę, ale była naturalna i gruba; tupnął nogą, co miał siły; ale odgłos nie wskazał żadnego ukrytego wydrążenia, wzniósł oczy w sklepienie, ale nie ujrzał innego otworu, tylko naturalną rozpadlinę, którą dym wychodził: »A ku czemuż służy ta széroka dziura w skale?« zapytał Antonijo. — »To nasza spiżarnia,« odpowiedział dowódzca. — »Spiżarnia?! nie najlepiéj zapewnie jest ona zasobna.« — »Nie tak bardzo źle, jak ci się zdaje,« odrzekł Giacomo, »zajrzyj!« Antonijo stanął na kamieniu, wyciągnął szyję jak żuraw', i zajrzawszy w dziurę, ujrzał tamże ostatki jagnięcia, trzy kuropatw, kilka jemieluchów i dwie przepiórki: »Do diabła! to nie są żarty; ty, jak widzę, panie naczelniku, masz liwerantów, którzy się znają na dostawie, a chociaż nie dostarczają okwicie, przynajmniéj znają się na wyborze.« — »Wielka prawda,« odrzekł dowódzca z uśmiéchem; »te biédaki pracują, jak dla siebie samych.« Antonijo spojrzał na dowódzcę i zrobił minę, która widocznie chciała powiedzieć: niech mię diabli wezmą, jeżeli ja z tego wszystkiego choć cokolwiek pojmuję, lecz Giacomo nie zdawał się spotrzegać ździwienia jego i wyszedł z jaskini. Antonijo, idąc za nim, zaczął znowu na do ysł wpadać, że nikt, jak tylko wieśniacy donoszą nocną porą téj żywności.

Dzień się schylił ku wieczorowi; o kuchni lub jadle nie było już wzmianki; zdawało się, iż każdy się wystrzegał, aby takowém wspomnieniem głodu nie wywołał, który praw swoich sam się dopominać umiał. O dziewiątéj wieczorem przyszła kolej na Antonija, był przez dowódzcę na straż przeznaczonym. Wziął sztuciec do ręki, natkał w kartuzę ładunków i zrobił już ruch do odejścia na swój posterunek; ale zaledwie postąpił, zaciął się w kroku, i zapytał: »A gdyby kto ważył się zbliżyć, mamże mu w łeb wypalić?« — »To się rozumié,« odrzekł naczelnik. — »Ale gdybyto był...« — »Któż taki?« zapytał Giacomo. — »Wszak mię rozumiész naczelniku.« — »Bynajmniéj.« — »Gdybyto był, naprzykład, przyjaciel jaki?!« — »Dawnożeś tak zgłupiał?« odrzekł mu Giacomo. »Przyjaciel? zkądby się on tu wziął? jeżeli nam jaki z nieba nie przyjdzie, na ziemi pewnie żadnego się nie doczekamy; jesteśmy za nadto dobrze przez tych diablów Francuzów strzeżeni, aby się do nas, na tę łysą skałę, jaki mógł dostać!« — »Przebacz naczelniku, nie wiedziałem o tém,« odpowiedział Antonijo i poszedł spiesznie na stanowisko.

Noc była spokojna i bez żadnego wypadku. Ze wschodem słońca zluzowano Antonija, który wróciwszy, usiadł na ułomku skały i odpoczywał. Dowódzca, jak przeszłą razą, wyciągnął ramię, wskazał na jednego z bandytów, i rzekł: »Na ciebie koléj,« a ten, nic nie mówiąc, wziąwszy dwóch z sobą, odszedł. Antonijo patrzył, widział, słyszał, lecz tyle rozumiał co i piérwéj.

Nie spawszy przez całe dwie nocy, będąc mocno czuwaniem znużonym, poszukał cieni, narwał mchu, badylów, i co mógł znaleźć, zrobił wiązkę, podłożył ją zamiast poduszki pod głowę, otulił się płaszczem, i chrapał smaczno na całe gardło, aż go do obiadu zbudzono. Obiad był tenże sam co i dnia wczorajszego, zalecał się wyborem źwierzyny. Antonijo widział ten sam porządek, ten sam podział, ten sam dostatek wody, i ten brak chleba. Dnia następnego znowu ta sama kolej rzeczy, a po tym dniu znowu ta sama; słowem, sześć dni minęło; Antonijo jadł sześć obiadów, a pojąć nie mógł, jakim sposobem spiżarnia w dostawę się zaopatrywała.

Siódmego dnia z rana zaczął sępiec, był niespokojny, i poszedł na krawędź skały, która się po nad przepaść na morze patrzyła; chciał się

przynajmniéj pięknym widokiem rozerwać; lecz trud jego był daremny; zawsze sobie, chociaż i nie chciał, na myśl przyprowadzał, iż mu tylko dwadzieścia godzin pozostaje na odkrycie tajemnicy, którą śledził przez dni siedm nadaremnie. To go wprawiło w jakieś niemiłe dumanie, zaczął wodzić okiem po dolinie, po kolcach skał, które w niebo się jeżyły, aż nakoniec tak się mocno w jedno miejsce wpatrzył, jak gdyby tam zjawionego ducha zoczył; wytęża rzenicę i widzi rzeczywiście; lecz sam sobie nie wierzy; byłato nie mała oddal, w którą wlepił oko. Nakoniec, po niejakiéj chwili, wykrzyka nagle i mimo woli: »Oby cię piekło pochłonęło!« Nie daremnie krzyknął, bo poznał stojącego pułkownika na tém samém miejscu, na którém powrócić mu przysiągł. Już teraz nie wątpi bynajmniéj, bo go widzi z dalowidem w ręku, a przy nim jego doradzcę, grubego doktora. Ruch, który pułkownik zrobił, przekonał Antonija dostatecznie, że go spostrzegł; widział bowiem wyraźnie, że dał dalowid pułkowemu lekarzowi, który prosto na niego wymierzył, a potém kiwnął głową, jak gdyby mówił: Prawda pułkowniku, widzę go, to on! »Tak, tak, on to, on!« rzekł sam do siebie Antonijo; »on, Antonijo, ten głupiec, który wam przysiągł powrócić i dać się powiesić.« To rzekłszy zaczął pilnie przypatrywać się grupom drzew u podnóża góry przez dziką naturę najpiękniéj rozsianym, jak gdyby sobie szukał miejsca, gdzieby mógł najprzyzwoiciéj być powieszonym. Gdy się tak w myślach zatapia, czuje, że go coś po ramieniu uderzyło, obraca się żywo i widzi za sobą dowódzcę: »Szukałem cię,« rzekł Giacomo. — »Mnie naczelniku?« — »Tak jest; na ciebie kolej.« — »Na mnie?« — »Tak jest, na ciebie.« — »I cóż mam czynić?« — »Ej, do diabła, iść po żywność.« — »Aha! po żywność; a to wyśmienicie!« — »Nie rozdziawiajże gęby i spiesz się; widzisz, że tam już na ciebie czekają.« Antonijo powiódł oczyma na miejsce wskazane ręką dowódzcy, i ujrzał dwóch bandytów, którzy na niego, aby szedł, głową kiwnęli. »Oto jestem,« rzekł Antonijo, przybieżawszy do nich. »Idźmyż.«

Wszyscy trzéj poszli teraz w ową stronę, gdzie ściana skały była najbardziéj przepaścistą, i jakby pod pion ulaną; tam pułkownik nie miał potrzeby być ostrożnym, i żadnej tam straży nie postawił. Antonijo, przybywszy na miejsce, jak goral z urodzenia, stanął bez trwogi na krawędzi, i zaczął się przypatrywać miejscowości; drudzy zeszli na uboczę, jakby czegoś szukali. Jakże się nie zdziwił Antonijo, gdy ich, jednego z powrozem, a drugiego z workiem powracających ujrzał! Jakże pod nim nogi nie zadygotały, gdy się do niego z powrozem zbliżono, i gdy go nim pod ramiona ujęto, i worek mu na szyi zawieszono! »Cóżto u diabła ma znaczyć? co wy robicie?« rzekł Antonijo, gdy go ta ceremonija coraz bardziéj niepokoić zaczęła. Jeden z jego towarzyszy, nic nie powiedziawszy, położył się na ziemi, i tak się naprzód posunął, że tylko głowa jego nad przepaścią wisiała.

»Zróbże teraz to samo,« rzekł do Antonija. Antonijo, chcąc nie chcąc, musiał to uczynić, co kazano, położył się blizko swego towarzysza i wyciągnął szyję. »Czy widzisz tę, oto tam krzywą sosnę, która się z rozpadliny o dwadzieścia stóp pod nami nad przepaść wygięła?«

»Ta jnści widzę,« odrzekł Antonijo.

»Patrzajże dobrze; nie widziszże tam wprost, zaraz za tą sosną, wielkiéj, czarnéj dziury w skale?«

»Tażem nie ślepy, widzę!« powiedział Antonijo.

»To dobrze; w téj dziurze jest gniazdo łomignata.« To słowo: łomignat, tak było niemiłe dla Antonija, że go mimo woli powtórzył. »No, nie znasz łomignata, największego orła w górach kalabryjskich;« rzekł mu dobitnie towarzysz; »skoro cię aż do sosny w dół spuścimy, uchwycisz się jéj lewą ręką, a drugą będziesz plądrował po gnieździe, a co tam znajdziesz, wrzucisz do worka, rozumiész?«

»O, teraz wszystko rozumię. Mam zabrać orlęta?«

»Nie bądźże tak bardzo już głupim, orlętom daj święty pokój, ale zabierz, co im matka i ojciec przynieśli. Trzy części dla nas, a czwartą dla nich.«

Antonijo podniósł się spiesznie z ziemi: »I któż przyszedł na ten pomysł szczęśliwy?« zapytał.

»Głupcze! któż inny jeźli nie nasz dowódzca,« rzekł mu bandyta.

»Myśl wielka, bardzo wielka; *sangue di Christi!* myśl Salomona!« zawołał głośno Antonijo, i uderzył się pięścią w czoło... »A tego człowieka ja zdradzić muszę?« dodał z cicha i z westchnieniem.

Tak było w samej istocie; Giacomo będąc jak dzikie zwiérzę w około śmiercią otoczonym, i na szczycie skały zamkniętym, nie mając żadnego związku ni z ludźmi ni ziemią, użył za swoich liwerantów orłów nieba, a ci gór i powietrza bandyci, dzielili się z nim zdobyczą wiernie i po bratérsku! — Wieczorem zniknął Antonijo.

(Dalszy ciąg nastąpi)

— Ze Lwowa. —

W Nr 13. Rozmait. umieszczona była wiadomość o »Historyi medycyny w Polszcze,« przez dra. Maryjana Zakrzewskiego napisanéj, a znajdującéj się w księgozbiorze pana Gwalberta Pawlikowskiego w Medyce. Otrzymawszy dokładniejsze o tém dziele szczegóły, pospieszamy udzielić ich naszym czytelnikom. Rękopisma dra. Maryjana Zakrzewskiego, zawcześnie zmarłego, a tyle pięknych po sobie nadziei rokującego męża, znanego uczonemu światu ze swoich prac pismiennych,*) znajdują się wprawdzie w Medyce, ale sąto dopiéro surowe materyjały do dziejów lekarstwa w Polszcze, które potrzebują uzupełnienia, uporządkowania, ogładzenia i ostatecznego do druku przygotowania. Szanowny posiadacz onych, nie tylko, że nie wzbrania oglądania każdemu ciekawemu, ale owszém zaprasza do siebie każdego, ktoby się chciał podjąć ostatecznego wypracowania i przygotowania onych do druku; zaręczając wszelkie wygody w swym gościnnym domu. Zastrzega jednak sobie jedno, a czyni to bardzo słusznie, aby dzieło to pod imieniem pierwotnego autora, na publiczny widok było wydane. — Przy téj sposobności miło nam jest donieść szanownym ziomkom, iż zakład ogrodniczy w Medyce spiesznie wzrasta, i teraz już celowi swojemu odpowiednie przynosi pożytki. Szkoła ogrodnicza coraz się bardziej pomnaża. W bieżącym roku rozeszło się z Medyki po naszym kraju 3,000 szczepów, 4,000 przeszło topoli włoskich i wiele innych roślin gruntowych i warzywnych, do czego niezmierna taniość tak w sprzedaży, jakoteż w przesyłkach z wzorową akuratnością dopełnianych, nie mało się przyczynia. A gdy zważymy, iż tutejsze szczepy większe i piękniejsze są niż zagraniczne, a transport ich tańszy, nie możemy nie dziwić się, że jeszcze znajdują się tacy między nami, którzy wolą je z zagranicy sprowadzać, a co jeszcze bardziéj, że pozwalają siebie oszukiwać Wurtemberczykom, którzy, jak nas doświad-

*) Umarł w r. 1831 na cholerę, jako lekarz przy powszechnym szpitalu lwowskim. Prace jego drukiem ogłoszone są: 1) O kołtonie polskim, rozprawa w niemieckim języku napisana, wyszła w Wiedniu. str. 42. 2) O wodach kruszcowych w Galicyi, ich dawnych opisach, a w szczególności o odkryciu, własnościach i używaniu wód siarczystych we wsi Szkło pod Jaworem (Jaworowcm) r. 1827. Ob: Czasopismo nauk: r. 1828 zeszyt III str. 85 — 113, r. 1829 zeszyt I. str. 68 — 85. 3) Jerzy Franciszek Kulczycki, Samborzanin. Jestto wiadomość o tym tyle w oswobodzeniu Wiédnia w r. 1683 zasłużonym mężu. Ob: Tamże r. 1830, zeszyt I., str. 74 — 87.

czenie uczy, nie raz po lasach wykopują rośliny i szczepy i takowe za dobry towar u nas sprzedają. S. P.

Odpowiedź na zapytanie Gazety Krakowskiéj w Rozm. Nr 17. W Liskowatem, wsi obwodu Sanockiego, graniczącéj ze wsiami: Wolicą, Łopuszanką i Łodyną, pozostały ślady Tatarów, którzy tam dawno kiedyś osiedli. Rodzina Hałłaków ma od nich pochodzić. Pomiędzy ludem krążą różne ściągające się na to powieści, których sobie teraz, słyszawszy je przed kilkunastu laty, dobrze nie przypominam. Na miejscu możnaby się zapewne o czémś dowiedzieć. K. J. T.

Dzieła: »Gospodarstwo wiejskie, obejmujące w sobie wszystkie gałęzie przemysłu rolniczego, teoryczno-praktycznie wyłożone przez Michała Oczapowskiego, w Warszawie 1835,« wyszło już pięć zeszytów: 1. i 2. zamykają w sobie naukę agronomii, a 3., 4. i 5. naukę o nawozach. Dalsze zeszyty mają zawiérać: 1) Naukę uprawy mechanicznéj gruntów; 2) opisanie potrzebnych do tego narzędzi; 3) naukę o uprawie, czyli rozmnożeniu roślin w ogólności; 4) naukę o uprawie zbóż; 5) naukę o uprawie roślin fabrycznych; 6) naukę o uprawie roślin okopowych; 7) naukę o uprawie roślin pastewnych; 9) naukę o chowie bydła w ogólności; 9) naukę o chowie owiec; 10) naukę o chowie koni; 11) naukę o chowie bydła rogatego; 12) naukę o chowie nierogacizny, ptastwa domowego, o gospodarstwie rybném i pszczelnictwie; 13) naukę o rządzie gospodarstwa zewnętrzném; 14) naukę o rządzie gospodarstwa wewnętrzném; 15) naukę technologii gospodarskiéj, czyli wykład rzemiosł z gospodarstwem związek mających. — Zdaje mnie się, że obeznajmując powszechność z tak użytecznem dziełem przysługę czynię. A.

W Wilnie wyszedł nakładem Józefa Zawadzkiego zeszyt ósmy: »Wizerunki i roztrząsania naukowe,« zawierający na 142 str. przedmioty następujące: 1) Postęp i rozwijanie się filozofii, oraz umiejętności metafizycznych, od początku 19go wieku. 2) Wizerunki historyczne: Gibbon, Edmund Burke i Chateaubriand. 3) Rozmaitości: Tablice porównawcze wszystkich wiadomych monet, wag i miar, wyrachowanych na monetę wagi i miary nowe francuzkie, nowe polskie i rossyjskie, przez E. T. Massalskiego. Kontynuacyja pamiętników o Dymitrze Samozwańcu, przez Ustriałowa, adj. uniw. petersb. Biblijoteka ruska, przez Mikołaja Polewoj. Rękopisma Zelizów z wieku 6go i 11go, artykuł Józefa Kraszewskiego. A.

Krótki rys literatury nadobnéj we Francyi. Rok 1835 dał życie 177 nowym romansom, z których 11 tylko było tłumaczeniem z innych języków. Piszących w tym rodzaju liczą 133, z tych 40 po piérwszy raz ogłosiło swoje płody; prawie piąta część tego pocztu stanowią nazwiska kobiet, których pisało 27. Alfred de Vigny, Soulié, Balzac i Jerzy Sand są matadorami w rodzaju romansów. Z utworów poetycznych w całym roku ogłoszono 299 dzieł, z tych, wszystko co wyszło z pod pióra Wiktora Hugo największéj do piérwszeństwa ma prawo. Sztuki dramatyczne nie mniéj okwicie pojawiły się, kiedy ich 151 odegranych było na scenie. Biorąc miarę z wszystkiego, co dokonano w téj gałęzi piśmiennictwa w roku przeszłym, Eugeniusz Scribe utrzymał się przy miejscu koryfeja.

Pani Talma (teraźniejsza hrabina Chalot) opowiada w pamiętnikach swoich następującą anegdotę: »Zmarły aktor Préville, na zalecenie wielu przyjaciół, przyrzekał zająć się wykształceniem pewnéj młodéj panienki cudnéj piękności, która miała chęć wstąpić w zawód sceniczny. Osoba ta mówiła ojczystym językiem bardzo czysto, głos miała dźwięczny i przyjemny, co wszystko tuszyło, że ją publiczność z uniesieniem przyjmie. Préville, ażeby ten piękny posąg ożywić, kazał się jéj uczyć roli Aryjadny. Pewnego dnia zwracał jéj uwagę na piękności téj roli, starał się obudzić jéj wyobraźnię, wystawiając żywémi barwy cierpienia téj nieszczęśliwéj, przez kochanka zdradzonéj i opuszczonéj księżniczki. »Teraz« mówił dalej, »przejmij się wćpanna tém uczuciem, trzeba całą duszę wylać, i zapomnieć, że jesteś aktorką; proszę odegraj swoję rolę.« Młoda dziewczyna odrecytowała rolę, lecz najoziębléj. Préville wrzał niecierpliwością: »Jako!« zawołał, »wćpanna zimną jesteś w takiéj rozczulającéj sytuacyi? Patrz, powtarzając tylko te wiersze, sam od łez wstrzymać się nie mogę. Wzrusz się wćpanna! wzrusz się (krzyczał do niéj z całego gardła), płacz wćpanna! jęcz — zacznij raz jeszcze. Ale już widzę, wćpanna nic nie czujesz... zaniechajmy Aryjadnę; pogadamy ze sobą o rzeczach, tyczących się wćpanny saméj. Zapewne kiedyś zechcesz wćpanna pójść za mąż, nie prawdaż? Proszę odpowiedz mi.« — »O, zapewne; któżby tego nie chciał.« — »Otoż, gdyby np: jéj kochanek, czy narzeczony, oddalił się od wćpanny, gdyby ją porzucił, zdradził, cóżbyś uczynila natenczas?« — »Cobym uczyniła...?« — »Odpowiedz wćpanna szczerze, bez ogródki...« — »Oto wybrałabym sobie innego.« — »Co?... wćpanna byś sobie innego wybrała?... Mościa panno, ostatnia to moja nauka; nie wyobrażaj sobie, abyś kiedykolwiek mogła wystąpić w trajedyi lub komedyi; możesz być szwaczką, modniarką, kawiarką, wszystkiém innem, prócz aktorką. Żegnam wćpannę!«

W Paryżu zrobiono uwagę, iż damy w tym roku przyjęły strój głowy od koni pana Schickler. Trzeba wiedzieć, iż bankier Schickler jest najbogatszym w Paryżu i wielkim miłośnikiem koni, które nie stoją w stajniach, ale w marmurowych salonach, gdzie za biletami odwiedzają ciekawi te pomieszkania końskie.

Mehmed Ali, ażeby zaopatrzeć się w kamień, potrzebny do budowy nowego kanału, kazał rozbierać jednę z wielkich piramid Cheopsa w Gizeh. Co za cios dla starożytników!

Karolina Lamb, małżonka lorda Melbourne, była jedną z owych kobiét, które płonęły szaloną, lecz zawsze nieszczęśliwie kończącą się miłością dla lorda Byrona. Pewnego razu, w czasie niebytności poety, wpadła ona do jego mieszkania, i na piérwszéj kartce jakiegoś romansu napisała: »Pamiętaj o mnie.« Byron, znudzony jéj dziwactwami i natrętną miłością, która od trzech lat trwała w piérwszém uniesieniu, napisał pod témi wyrazami:

»Nie wątpiéj pani, pamiętam o tobie,
I twój małżonek o tobie pamięta;
Jakże zapomnieć w tak nie długiéj dobie
Żonę niewierną... szatana natręta?«

Dowiedziwszy się o tém, obrażona kobiéta, zemściła się na poecie, wystawiając gó jako zawolanego rozpustnika w romansie swoim: *Glenarvon*. To pewna, że się w tych obrazach oboje nie trafili, albowiem niepojęte jakieś rozjątrzenie kierowało ich piórem. Byron w późniejszych latach daleko o niéj lepiéj i czuléj sądził; a lady przypadkowie spotkawszy orszak, który prowadził zwłoki Byrona w r. 1824, wpadła w okropne mdłości; wkrótce rozłączyła się z mężem i odtąd prowadziła życie pełne cierpień, które wkrótce zgasło.

W szynku wina na ulicy Biskupiéj w Londynie przechowują, jako drogi zabytek, portret pewnego człowieka, który przez lat 20 uczęszczał do téj szynkowni, i codziennie pięć butelek wina wypijał, z czego pokazuje się, iż sam na siebie w tym domu wypił 36,505 butelek; mimo tego żył jednakże 92 lat. Żałować należy, że nasi szynkarze nie umieją być wdzięczni podobnym bohaterom!

Sprostowanie. W przeszł. Rozm. Nr 22., na 1széj kolumnie, przedziałce 1széj, wierszu 15m z dołu, zamiast *sroma*, powinno być: stroma, w przedz. 2giéj, w. 23m z góry, téjże kolum., zamiast *mygi*, czytać: migi; w 4téj kolum., przedz. 1szej, w. 23m z góry, miasto *aksamita*, czytać: aksamitu.

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. **Druk Piotra Pillera, we Lwowie.**